Tom XV. Nr. 14.
11. listopada 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Kazimierz Brodziński,

uczony Polak i wierszopis.

Niedaleko Krakowa stoi miasto Bochnia, gdzieto dał Bóg w ziemi tyle soli, że mieli jej do chleba Polacy długie wieki, a dziś starczy ona ludziom prawie w całej Europie. Otoż koło Bochni stoi polska wieś Królowka, nazwana od jednego króla polskiego, co ją fundował i na wieczną pamiątkę tak nazywać kazał. Tam w tej wsi jest dwór starodawny polski, a na ścianie wisi tam obraz, na którym stoi namalowany pan, co trzyma w ręce lewej jakieś papiery. Otoż raz przypatrywali się temu obrazkowi gazdowie Jan Grąziel i Tomek Cholewa i inni z niemi, aż ktoś powiedział:

— To może i jaki święty namalowany tu, bo ma jakąś książkę, a jak nie, to pewno fundator tego dworu.

Na to odezwał się Jan Grąziel:

— Napis na obrazie pokazuje, że ten pan zwał się Kazimierz Brodziński i miał się urodzić tu w tym dworze. Ale co to za jeden taki, to ja tego nie powiem, jeno trza się zapytać kogo mądrego we dworze, to nam opowie.

Otoż akuratnie przychodzi na to panicz, co to chodził do szkół w Krakowie i znał się tak doskonale na książkach, jak dobry majster na każdej robocie i wiedział, kto i na co jaką książkę napisał. Jak jeno gazdy zobaczyli go, to zaraz Jan Grąziel tak pali do niego:

— Mój paniczu i szkolarzu! wy tam znacie się na pismach, jak ja na roli, opowiedzcie no nam, co to za jeden ten pan namalowany na tym obrazku?

A panicz popatrzył na obraz i powiada:

— To moi gazdowie jest Kazimierz Brodziński, który za polskich jeszcze królów tu w Galicji urodził się w tej samej wsi i był waszym krajanem, a potem był tak mądrym, że był profesorem aż w Warszawie i pisał książki takie, że w całym polskim kraju czytali Polacy.

A Tomek Cholewa gazda pyta dalej:

— A czy to ta wieś należała do niego?

— Nie, moi kochani, rzecze panicz, ojciec tego Kazimierza zwał się Jakób Brodziński, a matka Franciszka Radzikowska, byli to ubodzy ojcowie i zostawali w obowiązku nito na służbie u wielkiego pana polskiego Moszyńskiego, tam się dorobili uczciwie i sprawiedliwie grosza i potem wzięli sobie tę wieś w posesję i tu gospodarowali razem z gazdami.

— Aha! rzecze Jan Grąziel, to takim sposobem był tu w Królowce ten Kazimierz Brodziński — ale gdzie też on się urodził?

Na to mówi panicz tak:

— Ten Kazimierz urodził się na 40 męczenników już blisko wiosny w tym samym dworze już to temu dobrze 70 lat, bo roku pańskiego 1791, a może tu jeszcze żyje kto taki, co zapamiętał tego Kazimierza, jak on tu razem na wsi z chłopakami bąki zbijał, nim go ojciec oddał do szkoły do Lipnicy, gdzie to był św. Szymon z Lipnicy, i gdzie go profesor wyuczył litery poznawać i pisać na papierze.

A jeden gazda poderwał:

— A cóżto takiego znowu, że on nie był w szkole w Bochni, jeno w Lipnicy?

Na to panicz rzecze:

— To i to było jeszcze dobrze, że chodził do szkoły w Lipnicy, bo widzicie, że sierotami mało się kto zajmuje szczerze, jeno aby zepchać — toż jak miał ten Kazimierz 5 latek, to mu zabrał Bóg matkę, a ojciec ożenił się niedługo i dałże mu też dał Bóg taką drugą żonę do niczego, żeby był drugiej takiej nigdzie niepodybał.

— No! a cóżto ona robiła takiego? pyta Grąziel.

— A powiadam wam, rzecze panicz, że to była baba siedm mil za piekłem — bo co to! było pięcioro sierot w domu, to ta macocha wygnała wszystkie z domu, jeno ten Kazimierz został, a stary ojciec zwiesił uszy i nic na to nie mówił, bo by go była zajadła ta niedobra baba. I szkoda, że była panią w tym dworze! bo nie jedna gazdzina na wsi była lepsza od niej, toż mały ten Kazimierz nocował nieraz na wsi i dostał jedzenie, gdy mu macocha nie dała. A gdy nie chciała nic dać nawet na szkołę dla niego, to ojciec oddał go do Lipnicy, bo tak chciała macocha dlatego, że tam był strasznie ostry profesor i karał za każdą małą rzecz, a rózgi robiła mu żona zawsze w domu i posyłała do szkoły. Toż brał tam nieraz może i niewinnie ten Kazimierz, a macocha cieszyła się strasznie, jak Kazimierz płakał przed ojcem i skarżył się.

— No! gada Tomek Cholewa na to, toć to niema nic złego, kiedy za młodu ostro i w biedzie trzymają, bo tacy wychodzą prędzej na coś dobrego, bo wiedzą, co złe co dobre? to wyszło pewnie na dobre i temu panu Kazimierzowi.

— Ha! juści na dobre, rzecze panicz, bo jak ukończył szkołę w Lipnicy, to go oddał ojciec do Tarnowa z tej racji, że w Wojniczu miał tam stryja za plebana i ten ratował najwięcej te sieroty i tego Kazimierza. Toż jak miał on już 10 lat i był sporym chłopakiem i wyuczył się dosyć w Tarnowie, to go oddał ojciec do Krakowa, gdzieto były szkoły na cały polski kraj najlepsze a które król Kazimierz Wielki rozpoczął fundować, a królowa Jadwiga razem z swoim mężem Władysławem Jagiełłem dokończyła, i te szkoły zowią się do dziś dnia szkołą albo inaczej akademją Jagiellońską. Ale cóż? człowiek nigdy nie zgadnie jak mu wypadnie! toż umarł i ojciec

tego Kazimierza biedaka, a macocha zabrała wszystko a sierotom niedostało się nic a nic na owinięcie palca.

— A to zła baba dopiero, gada Jan Grąziel, żeby tak zponiewierać pierwsze dzieci, a o swoich jeno pamiętać, toż ją pewnie pokarał Bóg za to, a te sieroty miał w swej świętej opiece.

— A dobrze gadacie! rzecze panicz, bo kto sieroty krzywdzi, ten ma wielki grzech za to i zemsta Boga leci na takiego prosto z wysokiego nieba, toż widzicie ta macocha zaginęła, że dziś nikt o niej ani wspomni, a znowu ten biedny Kazimierz nie zmarnował się, ale mu Bóg dopomógł, że się wyuczył aż na profesora do Warszawy.

— No! pyta Tomek Cholewa, to ktoż łożył potem na szkoły dla tego Kazimierza?

— A toć mówiłem wam, rzecze panicz, że był jego stryj plebanem niedaleko Tarnowa, bo w mieście Wojniczu, toż ten dobry stryj dał go wyuczyć na różnych książkach tak, że ten Kazimierz umiał dobrze list każdy napisać, że doszedł i na koniec świata, potem jakci mu kazał który profesor co napisać, to jak sobie usiadł i podumał trochę i wyciął na papierze, toci profesor miał co czytać, albo jak kto chciał aby Kazimierz komu wypalił orację albo powinszowanie, to mu wypowiedział prędko i ładnie i składnie, aż wszyscy oczy wytrzeszczyli na niego, zkąd on to tak potrafił? A czasem to ci ułożył sobie na papierze takie pismo, gdzie każdy wiersz na końcu miał taki skład ładny do pary, jak to jest zawsze w każdej pieśni pobożnej u nas i gdzieto słowo do słowa tak szykuje, jak palec do palca na ręce ludzkiej, jak oko do oka w głowie naszej, a takie pisma wyrywali mu z rąk drudzy szkolarze, czytali na głos w szkole i w domu albo uczyli się na pamięć jak pacierza i potem opowiadali to z pamięci każdemu. A był wtedy w Tarnowie razem z nim w szkole i Franciszek Karpiński, co to urodził się w górach naszej Galicji, a potem ułożył dla Polaków pieśni pobożne, jak na ten przykład: „Kiedy ranne wstaje zorze“ albo „Wszystkie nasze dzienne sprawy“. Był tam także razem w szkole z nimi Odyniec, co to osiadł w mieście Wilnie i pisał wiele rozumnych książek dla Polaków.

Otoż widzicie moi kochani, jakto może z jednej szkoły wyjść naraz kilku szkolarzy na co dobrego, jeżeli jest ochota do nauki, a profesor nie żałuje ani nauki ani kija, jak potrzeba.

— No! powiada Jan Grąziel na to, to taki Kazimierz jak się wyuczył, mógł potem sam być profesorem dla drugich w Tarnowie.

Na to rzecze panicz:

— A juźci byłby został profesorem na pewne w Tarnowie i byłby się z tego ucieszył bardzo jego stryj pleban w Wojniczu, ale cóż? kiedy wtedy, jak miał Kazimierz 18 lat nastała wojna w polskim kraju, toć Kazimierz poradził się stryja a stryj mu nie bronił pójść na wojnę, bo to bili się wtedy Polacy o swoją ojczyznę.

— A cóżto była wtedy za wojna? pytali gazdowie.

A panicz powiada:

— Byłoto roku pańskiego 1809, kiedy cesarz Francuzów Napoleon I. obiecał Polakom oddać te kraje, które Moskale i Prusaki zabrali niesprawiedliwie. A nasz cesarz trzymał wtedy Galicję i posłał swe wojska do Warszawy, zkąd Polacy wygnali wojsko cesarskie, a potem przyszli do Galicji i odebrali ten kraj dla siebie. A ciągnęła się ta wojna wtedy kilka lat, toż i Kazimierz był długo wojakiem z własnej ochoty, aż roku pańskiego 1813 w wielkiej wojnie z Francuzami pod miastem Lipskiem został ranny i tak chorego zabrali Prusaki do niewoli a potem po wojnie puścili go do dom. Toż przez 5 lat całych był na wojnie Kazimierz, a potem wrócił znowu do swojej roboty, do nauki i do pisania książek.

— No! powiada gazda Jan Grąziel, a czy ja nie zgadł, że Kazimierz mógł być profesorem w Tarnowie?

— W Tarnowie nie chciał być, rzecze panicz, bo wtedy Galicja polska należała do cesarza, jeno spodobała mu się Warszawa i tam też pojechał i zostawał tam profesorem przez 10 lat, a napisał wtedy dużo takich pism, które dziś jeszcze Polacy czytają i cieszą się bardzo, że mieli takiego uczonego Polaka z tego Kazimierza. Napisał Brodziński także piękną powieść o ludu wiejskim wierszami, a powieść ta nazywa

się „Wiesław“ i należy do najpiękniejszych książek w Polsce, ba na świecie całym.

A Tomek Cholewa poderwał:

— A czy on też ułożył jakie pobożne pieśni, aby Polacy spiewali sobie w kościele, w domu albo na polu przy robocie?

— O takich pieśniach nie słychać nic, gada panicz, ale napisał on na pamiątkę, jak się chował na wsi w Królowce między gazdami i jak ci gazdowie byli dla niego sieroty bardzo miłosiernymi i dobrymi, to powiadam wam na tę pamiątkę ułożył bardzo ładną książkę, gdzie wychwala pobożność i poczciwość i cnotę dziewek wiejskich, tak żeby się nie jeden ze dworu panicz młody nie powstydził wziąć sobie za żonę taką wiejską dziewczynę i opisał wam ładnie, bardzo ładnie, jak się to jeden taki bogaty ze dworu zalecał takiej dobrej dziewczynie na wsi u jednego dobrego polskiego gazdy, jak to on się starał aby ją dostał za żonę i . . . .

— No! przerwał gazda Grąziel, to się przecie nie ożenił z nią, bo gdzieby się tam kto ze dworu chciał kiedy żenić z biedną dzieweczką wsiową, ta to niema pamiętnika na to, aby kiedy która wsiowa dziewczynka wyszła aż na panię dworu?

— To prawda, rzecze panicz, że tak nie bywało u nas, jeno dwory żeniły się z dworami, a chłopy znowu z chłopami, a nieraz to sobie hultaje panicze sprowadzali gdzieś ze świata jakieś francuzkie albo niemieckie panny i z niemi się żenili, a znowu nierozumne panny polskie wydawały się za Niemców, za Francuzów, ba! nawet za Moskalów! No! zważcież sami, czy to mogło być dobrze? czy nie byłoby daleko lepiej, aby się krajanie żenili w swoim kraju? toć nieraz byłaby lepszą panią we dworze taka pobożna i pracowita dzieweczka ze wsi, niż taka niedobra szwargotnica, co ją nikt a nikt we wsi nie rozumiał, albo ani razu nie była w tej wsi, która na dwór robiła. Otoż ten Kazimierz dobry krzyczał strasznie na takie zbytki i głupstwa po dworach i radził Polakom, aby do nas nie sprowadzali obcych panów i pań, jeno aby się trzymali między sobą i swego bronili.

— A kiedy tak, mówili gazdowie, to on prawdę pisał, i niech tam Bóg mu odpłaci za to, jeżeli jeszcze żyje gdzie na świecie.

— Oj nie żyje on już nie żyje, mówi panicz, bo z ciągłego gadania przy nauce w szkołach a potem z siedzenia przy pisaniu zachorował on na piersi i porzucił szkoły, pojechał do miasta Drezna i tam umarł roku pańskiego 1835.

— A to on nie był tak stary, rzecze Grąziel, boć pono nie doczekał ani 50 lat.

— A tak, mówi panicz, żył on jeno 44 lat i umarł w tydzień po św. Michale, i leży tam w Dreznie pochowany z drugimi Polakami. A my tu jak widzicie mamy w Królowce obraz jego na pamiątkę, że on się tu urodził i chował.

— Aha! to teraz dowiedzieliśmy się prawdy o tym obrazie — Bóg wam zapłać paniczu dobry za opowiadanie — a nam niech da Bóg dużo takich, jak był ten Kazimierz w polskim kraju.

I odeszli gazdowie do dom i rozpowiadali po całej wsi o tym Kazimierzu Brodzińskim.

Xiądz Wojciech z Medyki.

DO BOGA.

Wszystkie kwiaty dobry Boże,
Twe słońce do życia budzi,
A tylko nadzieja ludzi
Nigdy dokwitnąć nie może!

Czego tkliwe serce życzy,
Płonneż to tylko marzenie?
I czyste cnoty westchnienie
Czyż wiatr unosi w zdobyczy?

Kiedy cnocie ku ofierze,
Drogie a szlachetne chęci
Ufne Tobie serce święci,
Czyż nagrody nie odbierze?

Ach wszystko z Ciebie się składa,
Nie zapełniasz marą świata,
Dań dla Ciebie to nie strata,
Bóg nie z danin tronem włada.

Co szlachetnie poświęcamy,
To naszem być nie przestanie,
Nie jest marą spodziewanie,
Które z Ciebie, w Tobie mamy!

Historja o Kasprze górniku.

Powiastka prawdziwa.

Przed sześćdziesięciu blisko laty, w miasteczku Wieliczce mieszkał ubogi a bardzo pracowity górnik; miał on żonę i sześcioro dziatek, a chociaż zapłata górnika nie wystarczała mu na ich utrzymanie, przecież żona także zarabiała piorąc bieliznę urzędnikom, a najstarszy trzynastoletni syn już pod ziemią z ojcem pracował, biorąc trzecią część tej co ojciec zapłaty. Przy wspólnej pracy wiodło się całej rodzinie niezgorzej, a że się bardzo kochali, więc im życie wesoło schodziło i choć czasem niedostatek przycisnął, nie swarzyli się między sobą, ani wyrzekali na los nieprzyjazny, tylko modlili się szczerze i gorąco prosząc pomocy bożej, a Pan Bóg też ich nie opuszczał.

Osobliwe też nabożeństwo miała cała rodzina do cudownego obrazu Pana Jezusa umieszczonego na krużgankach klasztoru Augustyjanów przy kościele św. Katarzyny w Krakowie. W każde święta większe, jak w Boże Narodzenie, Wielkanoc i Zielone Świątki, podczas których podziemne roboty ustają, szedł Kasper z żoną i dziećmi do Krakowa i mszę świętą przed cudownym Panem Jezusem zakupywał. Wszyscy słuchali mszy tej pobożnie, po której zwykle kapłan udzielał im błogosławieństwa.

Jednego dnia jak zwykle o świcie wyszedł Kasper wraz z synem Ludwikiem do kopalni. Spuszczono ich w głąb ziemi na pierwsze piątro, gdzie pomodliwszy się w kaplicy św. Antoniego, szli dalej z zapalonemi kagańcami.

— Zapóźniliśmy się trochę Ludwisiu, rzeknie ojciec.

— Bośmy też dłużej jak zawsze byli w kaplicy, odpowie Ludwiś.

— Prawda że dłużej, ale to nic nie szkodzi, czas stracony na służbie bożej da się wynagrodzić. Pójdziemy dziś starym chodnikiem św. Jadwigi, to o jakie pięćset kroków bliżej i wynagrodzimy spóźnienie.

— O bójcie się Boga tatusiu, zawołał ze strachem Ludwik, nie chodźmy przez stary chodnik, bo tam niebezpiecznie, a wczoraj stary Marcin mówił, że wyraźnie słyszał jak tam coś trzaskało.

— Bo staremu zawsze się przywiduje. Przechodziłem tamtędy już nieraz a nic mi się złego nie stało, da Pan Bóg, że i teraz przejdziemy bez przypadku.

— Ale też strzeżonego Pan Bóg strzeże, jak mówi mamunia — mój drogi, złoty, serdeczny tatusiu, nie chodźmy starym chodnikiem.

— Głupiś, zawoła zniecierpliwiony ojciec, proszę, smarkacz będzie mi dawał nauczki; rób jak ci każę i nie mrucz, a mnie nie gniewaj. — Marsz!

Ludwik spuścił głowę i szedł smutny za ojcem. W kilka chwil stanęli u wnijścia starego chodnika. Mówię wam o chodniku, a niewiem czy macie wyobrażenie co to jest chodnik w kopalniach soli.

Grónicy chcąc się dostać w głąb ziemi, biją najpierw studnię bardzo głęboką, którą nazywają szybem. Kiedy przebiwszy ziemię dostaną się do soli, naówczas w kamiennych jej ścianach wiercą w poprzek ulice, niby krużganki podziemne, prowadzące od jednego do drugiego szybu, sól zaś wydobytą wyciągają na wierzch kieratami.

W Wieliczce jest pod ziemią kilkaset takich chodników podziemnych, a niektóre są bardzo długie. Ściany ich, powała i podłoga są naturalnie z soli, która twarda jak kamień utrzymuje ziemię z góry ciężącą. W dawnych czasach nie robiono takich chodników ale jamy głębokie i ogromne, zwane komorami, które aby się nie zawaliły, podpierano drzewem, a całe lasy wyrąbane spoczywają w podziemiach Wieliczki.

W stary odwieczny chodnik, od kilkudziesięciu lat opuszczony, przez który tylko czasem przechodzili dla skrócenia drogi bardzo odważni górnicy, zapuścił się Kasper z Ludwikiem.

Szli obadwaj słowa do siebie nie mówiąc. Kasper choć śmiały stracił jednak zwykłą odwagę, jakaś trwoga ogarnęła mu serce, im dalej szli, tem bardziej strach przejmował górnika. Ludwik szedł za ojcem, obcierając łzy ukradkiem, bo się od płaczu wstrzymać nie mógł. Obadwaj odmawiali po cichu psalm „Kto się w opiekę“ i prosili Boga, aby im dozwolił jak najprędzej dosięgnąć końca.

Nakoniec doszli starej komory. Przebyli ją z drżącem sercem, a gdy znowu weszli w dalszy ciąg chodnika, rzekł Kasper do syna:

— Widzisz Ludwisiu żeśmy najgorsze już przebyli, jeden tylko zakręt i będziemy przy swoich, a nie mało oszczędziliśmy czasu.

Ludwik chciał coś odpowiedzieć, kiedy nagle zatrzeszczało coś gwałtownie w tylko co przebytej komorze.

— O rany boskie tatusiu wali się! krzyknął Ludwik.

Kasper nic nie odpowiedział, tylko porwał syna na ręce, podbiegł kilkadziesiąt kroków naprzód i wskoczył w boczną framugę.

Ledwie tu stanął, gdy straszliwy huk, jakby z tysiąca harmat wstrząsnął kopalnią. Gwałtowny wicher obalił obu na ziemię i zagasił kagańce górnicze. Ogłuszeni hukiem i upadkiem, długo tak leżeli, aż nareszcie Kasper ochłonąwszy z przestrachu, sięgnął ręką i namacał leżącego syna.

— Ludwiku! Ludwisiu! wołał ojciec wstrząsając go. Ludwisiu odezwij się, ale dziecko nie odpowiadało.

Dobry górnik nigdy nie wybiera się bez siarniczek na robotę. W owym czasie nie znano jeszcze zapałek do pocierania, więc Kasper wydobył krzesiwo, skrzesał, zapalił nasiarkowany papierek a od niego kaganek. Pierwszą myślą wiedziony poskoczył do syna i z radością poznał, że Ludwik żyje, ale tylko omdlał ze strachu. Wnet go otrzeźwił, dźwignął na nogi.

— Pan Bóg miłosierny ocalił nas moje dziecię, idźmy dalej.

— Nie mogę, tatusiu, nie mogę, zawołał Ludwiś chwiejąc się na nogach.

— Ha, to cię wezmę na ręce, bo tutaj zostawać dłużej jest bardzo niebezpiecznie, może się cały chodnik zawalić; widno spadło sklepienie w komorze.

I wziąwszy na jedną rękę chłopca a w drugą kaganiec, ruszył naprzód, ale zaledwie uszedł kilkanaście kroków, ujrzał chodnik zawalony ziemią, postawił kaganiec i spróbował oskardem czy nie przebije dziury, — napróżno — ziemia, sól w bryłach, wszystko to tamowało drogę.

Tymczasem Ludwik przyszedł do siebie i nieco sił odzyskał. Postawił go ojciec na ziemi i nawrócił się w przeciwną stronę, ale o kilkadziesiąt kroków dalej znaleźli znowu zawalony chodnik. Kasper zalał się łzami, upadli obadwaj na kolana i poczęli gorąco modlić się do Pana Boga.

Wszelka nadzieja ratunku zniknęła, został im tylko Bóg, jedyna ucieczka nieszczęśliwych i opuszczonych.....

Tymczasem w innych częściach kopalni huk i wstrząśnienie przeraziło górników. Wszyscy rzucili się ku szybowi, którym windowano do góry ludzi, sól lub kamienie, inni pobiegli ku wschodom, i zrobił się taki natłok między uciekającymi, że się o mało nie podusili.

W godzinę wszyscy już byli na górze. — Urzędnicy chcąc się przekonać czy kto z ludzi nie zginął, kazali im ustawić się w szeregi, i poczęli czytać listę imienną górników. Wszyscy byli, brakowało tylko Kaspra z synem.

Niektórzy sądzili, że Kasper i Ludwik do roboty nie przyszli, ale wnet pokazało się z ksiąg zapisujących robotników, że obaj spuścili się szybem. Zapytano tych, którzy razem z Kasprem pracowali, lecz ci oświadczyli, że ani jego ani Ludwika przy robocie nie było. Ktoś widział ich modlących się w kaplicy, ale nikt nie mógł dać objaśnienia kędy się udali ztamtąd. Obadwaj bowiem weszli do starego chodnika tak, że ich nikt nie widział.

Na wierzchu także stał się przypadek skutkiem zawalenia komory, jeden dom i stodoła zapadły się w ziemię, szczęściem ludzie przestraszeni hukiem podziemnym zawczasu uciekli.

Złe wieści prędko się rozchodzą, wnet też Kasprowa dowiedziała się o swojem nieszczęściu. Natychmiast pobiegła do szybu i rzuciła się do nóg urzędnikowi przełożonemu nad górnikami, zaklinając go na wszystkie świętości, ażeby męża i syna jej ratował.

Urzędnik odpowiedział Kasprowej, że wcale niepotrzebnie nudzi go swojemi prośbami, bo i bez tego z urzędu zesłaną zostanie komisja w głąb kopalni, żeby się dowiedzieć, jakie szkody zawalenie komory zrządziło i co się stało z zatraconemi górnikami.

Komisja z przyczyny grożącego niebezpieczeństwa zeszła dopiero na drugi dzień i zrobiła co do niej należało, ale nie mogła wyśledzić gdzie się podział Kasper i Ludwik. Napróżno górnicy, towarzysze ich rozbiegli się po wszystkich chodnikach przyległych zawalonej komorze, wołali, krzyczeli, wszystko nadaremnie. Zarządzono kopanie w częściach zawalonych i pięćdziesięciu górników przez dwa dni pracowało dniem i nocą, jednak zaginionych odszukać nie mogli. Oprócz bowiem chodnika którym się Kasper udał, było jeszcze innych kilkanaście podobnie jak tamte zawalonych, i trzeba było najmniej dwie niedziele kopać, żeby dostać się ze wszystkich stron aż do zawalonej otchłani.

Najgorsza zaś rzecz była, że nikt nie wiedział kędy przypadek zaskoczył zagrzebanych górników i dlatego niepodobna było oznaczyć w której szukać ich stronie.

Przypadek ten okropny wydarzył się we czwartek, kopano przez piątek i sobotę nadaremnie. W niedzielę już nie robiono poszukiwań i każdy uważał Kaspra i Ludwika jakoby za umarłych.

Ale jeżeli obcy ze smutkiem rozmyślając nad nieszczęściem górników, zrzekli się wszelkiej nadziei ich oglądania, to Kasprowa nie straciła ufności w Bogu.

Zalewając się łzami przecież pocieszała przelęknione dzieciny i co chwila czekała wieści radosnej o odszukaniu swych najmilszych osób. Przeszedł piątek, przeszła sobota bez żadnej pociechy. W niedzielę biedna kobieta zerwała się o świcie i pobudziwszy dzieci rzekła im:

— Moje sieroteczki, ubierajcie się co żywo. Dziś w nocy przyszło mi na myśl, abyśmy poszli wszyscy do Krakowa i modlili się do cudownego Pana Jezusa augustyjańskiego. Mam nadzieję że On nas pocieszy.

W pół godziny potem szła cała rodzina do Krakowa, a chociaż smutek przygniatał ich serca, przecież jakaś otucha podnosiła je. — Nie szli, ale jakoby na skrzydłach lecieli, tak im drogi ubywało, i w godzinę już byli na moście Podgórskim, przez który przechodzi się z Galicji do Krakowa. Ztamtąd udali się przedmieściem Kazimierzem do kościoła św. Katarzyny,

zbudowanego przez Kazimierza Wielkiego w r. 1343. — Przy tym ogromnym kościele nabożeństwo odprawiało się na krużgankach, bo kościół od dawna był zamknięty.

Na Kazimierzu przy Krakowie stoi wysoki kościół świętej Katarzyny.

Przed siedmdziesięciu ośmiu laty trzęsienie ziemi zrysowało sklepienie, w dziewięć lat potem rząd austrjacki zająwszy Kraków, piękną tę świątynię obrócił na magazyn siana i owsa. Wtedy to sklepienie w zupełności zleciało, a nabożeństwo odprawia się odtąd na krużgankach augustyańskiego kościoła, jak tylko co wam mówiłem.

Kościelne krużganki mieszczą się w dolnem piętrze kościoła, widne i obszerne. Przy jednej ze ścian znajduje się ołtarz zawierający cudowny obraz Pana Jezusa i Najświętszej Panny do połowy ciała malowanych. Obie figury są daleko większej postaci niż zwykli ludzie. Pan Jezus wyobrażony jak gdyby wychodził ze studni, w cierniowej koronie, ręką wskazuje na ranę w boku. Najświętsza Panna welonem okryta. Twarze obie ciemne i smutne.

Ołtarz ten mieści się na wzniesieniu pod sklepieniem krużganków, a z dwóch stron wschody z poręczą prowadzą do niego.

Katarzyna żona Kaspra weszła do zakrystji i skłoniwszy się księdzu z płaczem opowiedziała swoje nieszczęście. Poczem złożyła dwa złote na stole, prosząc księdza, ażeby odprawił mszę świętą na intencją zaginionego męża i syna. Sędziwy staruszek kapłan, nie chciał żadną miarą przyjąć pieniędzy, zapewniając Katarzynę, że świętą ofiarę odprawi bez żadnej zapłaty.

Za chwilę rozpoczęła się święta ofiara. Katarzyna z pięciorgiem dziatek leżała krzyżem u stóp ołtarza cudownego Zbawiciela i głośnym płaczem napełniała kościół. Kapłan przed rozpoczęciem nabożeństwa przemowił do zgromadzonych pobożnych, a opowiedziawszy nieszczęście górniczki, prosił ażeby modły swoje połączyli z jego modłami na intencją Kaspra i Ludwika.

Pocieszona na duchu wróciła Katarzyna do Wieliczki, a po południu znowu z dziatkami poszła do kościoła tamtejszego i na nieszporach gorąco się modliła. Po skończonem nabożeństwie w domu do późnej nocy rozmawiała z dziatkami wciąż im opowiadając:

— Cicho dzieci, nie płaczcie. Pan Bóg miłosierny czuwa nad nami. Wyrwał on Daniela z jaskini lwiej, gdy wszyscy myśleli, że go już owe bestje pożarły. Wyrwał Jonasza z wnętrzności ryby wtenczas, kiedy on sam zwątpił o swoim ratunku i myślał, że już na wieki zginął. Módlmy się, prośmy za naszym ojcem, za kochanym Ludwisiem, a Pan Bóg wydrze ich z podziemnych przepaści i powróci strapionym. Na kolana dziatki, na kolana. Ufajcie łasce i opiece Boskiej, bo kto w Panu ufa, nie zginie.

Długo jeszcze modliła się Kasprowa z dziecinami, nareszcie rozebrała je i pokładła spać, a sama znowu uklękła.

Jak długo klęczała nikt nie wie, czy wśród tej modlitwy usnęła, czy wpadła w otrętwienie, trudno powiedzieć, dosyć na tem, iż zdawało się jej jakoby klęczała na krużgankach, zdawało jej się, że jest sama przed ołtarzem Pana Jezusa, w którego obraz wlepiła oczy zalane łzami i wołała:

— Chryste Panie Zbawicielu nasz, przez okrutną mękę Twoją, którąś wycierpiał, przez rany i krew Twoją najświętszą, przez sromotę, wstyd i zelżywości których doznałeś od Twoich katów, Jezu nazarański, zmiłuj się nademną i nad mojemi sierotami, powróć nam ojca, powróć mi brata, ocal całą naszą rodzinę od śmierci!

To rzekłszy upadła na twarz i krzyżem leżąc wzniosła oczy na obraz.

A wtem zdało jej się jakoby mgła jaka lub przezroczyste obłoki ogarnęły cały obraz; jakby jej coś wyraźnie do duszy szeptało te słowa:

— Nie trwoż się niewiasto! Wysłuchane są prośby twoje i ty i twoje dzieci nie zginiecie. Mąż twój i syn żyją i są zdrowi w głębi kopalni. Proś naczelnika, niechaj każe kopać w chodniku starym św. Jadwigi, przez chodnik św. Jana ku framudze, w której są oba, tam ich znajdą całych i nienaruszonych.

Kasprowa słuchała z radością tych słów, ale po chwili rzekła:

— Alboż to naczelnik usłuchać mnie zechce?

A na to znowu jakby ktoś do niej mówił:

— Powiedz mu aby sobie przypomniał sen, który miał trzy razy tej nocy, a usłucha cię natychmiast.

Każdy domyśli się z łatwością, że Katarzyna już tej nocy nie zmrużyła oka a skoro tylko zaświtało ubrała się natychmiast, a zabrawszy dzieci poszła pod okna mieszkania naczelnika czekając rychło się obudzi.

Nareszcie Kasprowa zabrawszy dzieci poszła do kancelarji naczelnika, ale nie zastała urzędników, bo dopiero schodzili się o ósmej godzinie, biedna kobieta stała jak na rozpalonych węglach, gdyż jej się zdało, że każda chwila opóźnienia może zgubić męża i syna. Wreszcie przyszedł kancelista, a skoro ujrzał Kasprowę, zapytał ją:

— Kto jesteś i czego chcesz?

— Wielmożny panie, jestem żona Kaspra górnika, którego zasypało z synem we czwartek.

— No więc po cóż tu łazisz, zasypało go to się nie wróci, a jak obrachujemy dostaniesz pensją, jaka ci wypadnie i kwita.

Za chwilę przyszedł naczelnik i zapytał po niemiecku jaki kobieta ma interes, kancelista ze śmiechem począł opowiadać to co Kasprowa mówiła, a naczelnik wysłuchawszy zbliżył się ku Kasprowej i rzekł:

— Wasz mąż pewnie już nie żyje, ja wam nic pomódz nie mogę.

— Niechże sobie wielmożny naczelnik przypomni, co mu się dzisiaj śniło o moim mężu.

Tedy naczelnik zbladł, bo mu stanął przed oczyma sen, o którym zrana był zapomniał. Widział on we śnie Kaspra z Ludwikiem w podziemnej framudze, jako wybladły i wynędzniały wołał na niego żałośnym głosem, ażeby go ratował.

Natychmiast zawołał górników i sam na czele ich spuścił się w głąb kopalni.

Kasprowa szła przy pierwszym górniku, prowadzącym z kagańcem naczelnika. Chociaż nigdy w tej części kopalni

nie bywała, przecież z pewnością wiodła ich naprzód, wskazując, w której stronie zagrzebany jest Kasper. Wnet przybyli na wskazane miejsce; górnicy wzruszeni cudownem objawieniem Kasprowej wzięli się ochoczo do pracy. Przez dwie godziny odwalali kilofami i oskardami ziemię, a gdy się jedni zmęczyli, to zaraz drudzy w ich miejsce brali się do roboty, aż nareszcie ogromna bryła soli silną ręką górnika odwalona spadła z hukiem, a po za nią ukazał się otwór, z po za którego usłyszano słaby i przytłumiony jęk. Z nową gorliwością rzucili się górnicy do otworu, a po krótkim przeciągu czasu rozprzestrzenili go tak, że dwóch wskoczyło z kagańcami do środka.

Za chwilę w otworze ukazała się głowa, następnie całe ciało Kaspra, za nim zaś wyniesiono Ludwika. Kasprowa ujrzawszy obydwóch żywych, z krzykiem rzuciła się na szyję męża i raz jego, drugi raz Ludwika tuliła do swych piersi.

Wynalezionych górników wywindowano na wierzch ziemi, zaniesiono do domu i ułożono w łóżku. Obadwaj posileni rosołem, który im posłał naczelnik, zapadli w sen głęboki i dopiero przebudzili się nad wieczorem.

Kasper wtedy opowiedział żonie i zgromadzonym towarzyszom jako przez cztery dni i noce w śmiertelnej przebyli trwodze, jak dzielili się po trochu bochenkiem chleba, który Kasper zabrał z sobą w podziemie, jak w sobotę już im chleba zabrakło i byliby z głodu pewnie zginęli, gdyby niespodziany ratunek, który im Pan Jezus zesłał. Jak ciągle jedyną nadzieję mieli w cudownym Zbawicielu augustyjańskim, do którego obadwaj modlili się bez przestanku. Jak wreszcie ostatniej nocy ukazała się Kasprowi we śnie postać męża w białej jaśniejszej od śniegu szacie, która mu powiedziała: „Nie lękaj się, albowiem wybawienie twoje jest bliskie.“

Na drugi dzień cała rodzina Kasprowa otoczona tysiącem górników udała się w uroczystej procesji do Krakowa, do klasztoru księży Augustyanów, gdzie wśród nabożnej uroczystości dziękowano Bogu za ten szczęśliwy ratunek.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.